

Wybory prezydenckie w USA i w Polsce

5 listopada 2020

Musiał dokonać wyboru, czy lecieć na Florydę, czy spotykać się z elektoratem z innych stanów, bo na wszystkie wydarzenia kampanijne nie starczało mu nie tylko czasu, ale i pieniędzy. Donald Trump miał ich wielokrotnie mniej niż rywal zasilany przez tłuste koty z Wall Street.

Po stronie Bidena znalazły się wszystkie narzędzia nowoczesnego prania mózgow ludziom, którzy byli wbijani w społeczny dowód słuszności sondażami, opiniami ekonomistów i komentatorów bieżącego życia politycznego. Nawet w dniu wyborów przeakcentowano spływające z brzegu dane, choć te pochodziły z centrów i nie uwzględniały dochodzących dużo później wyników z mniejszych miejscowości i dopiero nad ranem George Stephanopoulos z ABC przyznał, że wyścig prezydencki zaczyna wyglądać jak „powtórka z 2016 roku”, kiedy wg prognoz Hillary Clinton miała większe szanse na wygraną, ale jej przewaga topniała wraz z liczeniem głosów.

Trump ma po swojej stronie prawdę: mnóstwo osobistych osiągnięć poczynszy od najniższego od lat 60. bezrobocia, słusznej polityki generowania miejsc pracy (demokraci chcieli nakładać na przemysł podatki), rosnącej konsumpcji i płac, skończywszy na wygaszaniu konfliktów, militarnym wycofaniu się z Syrii i rezygnacji z misji Obamy i Busha wyzwalań, czytaj rujnowania, kolejnych krajów spod dyktatur, racjonalnych z perspektywy Ameryki pociągnięciach w relacjach z państwami NATO, Azji i Rosji – która była konsekwentnie ignorowana przez media głównego nurtu. Tym prezydent nie pozostawał dłużny. Jego lista fakenewsów wyprodukowanych przez najpoważniejszych dziennikarzy była do tego stopnia trafna, że obnażyła hipokryzję koncernów należących do garstki miliarderów, które śledziły kłamstwo wszędzie jedynie nie u siebie.

Każdy przywódca Ameryki – po wyglądającej na zaciętą walce – przechodził na pozycje establishmentu. Z wyjątkiem Trumpa, który ostentacyjnie deptał przekonanie elit o finalnym triumfie lewicowo-liberalnego zeitgeist, iż – jak ostatnio wyznała pani Mosbacher – historia ma swoje strony i pewni ludzie znajdują się po tej niewłaściwej, inni zaś ją piszą.

Podziały w społeczeństwie przebiegają wzdłuż wszystkich tematów wywoływanych na wojnie kulturowej od „swobody” seksualnej po obecność religii na forum publicznym a w swej kulminacji sięgają do absurdalnego prawa do piętnowania konserwatystów i wykluczania ich z życia publicznego.

Amerykanie, urabiani przez media, spokojnie przyjmowali – i, co gorsza, interioryzowali – większość roszczeń lewicy. Z każdym ze spełnionych przez nią żądaniem zanikała tolerancja dla wlecących się za postępem maruderów. Nie wystarczało samo przyjęcie do wiadomości innowacji emancypacyjno-legislacyjnych. Nie wystarczyło zadeklarować: „dobrze, wygraliście, ale dajcie nam pozostać przy swoim zdaniu i żyć w spokoju”. Wybór został zawężony do bezkrytycznego i entuzjastycznego poparcia radosnej twórczości radykalnych demokratów i na wpół szalonych akademików. Coraz częściej wypowiedzenie konserwatywnego poglądu, choćby tylko w gronie znajomych, wiązało się z ryzykiem nagonki, której konsekwencją mogła być w najlepszym przypadku strata paru przyjaciół, a w najgorszym – utrata pracy i społeczny ostracyzm.

Liberalni posiadacze mediów społecznościowych nigdy nie próbowali ukrywać, po której stronie sporu się znajdują: moderowali ekscesy lewicy i aktywnie je wspierali. Prawica ryzykowała wykluczenie za poglądy, które u nas uchodziłyby za ledwie centrowe – lewicy zaś uchodziło publiczne nawoływanie do przemocy i mordów.

Nieubłagane tempo zmian sprawiło, że za podwójnej kadencji czarnoskórego amerykańskiego przywódcy wielu uznało, iż już jest po sprawie. Liberalne gazety akklamowały jednogłośnie

zwycięski kres wojen kulturowych. Niektórzy komentarzy, odnosząc się per analogiam do powojennych Niemiec twierdzili, iż, teraz gdy amerykański konserwatyzm został pokonany, przyszedł czas na denazyfikację polityki i społeczeństwa. Nie przejmowali się, że takimi słowami zrównywali znaczną część społeczeństwa z nazistami – o co szczerze pytani potwierdzali, iż właśnie tak postrzegają amerykańskie peryferia. Barack Obama z pogardą mówił o tych, którzy „kurczowo trzymają się broni i religii”. Jego niedoszła następczyni, Hilary Clinton, w kampanii zadeklarowała, iż połowa wyborców republikańskich przynależy do „koszyka opłakańców” (deplorables).

W ten sposób narodzili się „shy voters” – obywatele nie przyznający się do preferencji politycznych – odpowiadający za spektakularną porażkę amerykańskich ośrodków badania opinii publicznej. Największe firmy z tej branży zapewniały, że dokonały korekty zbioru respondentów, jak i stosowanej metodologii, mimo tego, poza jednym ośrodkiem – Trafalgar, który jako jedyny przewidział zwycięstwo Trumpa w 2016 roku – wszystkie sondażownie pokazywały dużą przewagę demokratów. Szefowie amerykańskich ośrodków badania opinii publicznej będą mieli wiele do przemyślenia w zakresie metodologii i sposobów zdobywania wiedzy o amerykańskim społeczeństwie niezależnie od tego, jakim wynikiem ostatecznie zakończą się te wybory.

Wielu republikanów, bardziej ceniąc sobie przynależność do elit aniżeli wierność sumieniu i własnemu światopoglądowi, przytakiwało terrorowi kulturowemu. Wtedy nastąpiła zaskakująca elekcja Donalda Trumpa. W sytuacji, gdy Hillary Clinton miała być nowym Lincolnem – raz na zawsze ustalającym nowy konsensus i przekreślającym stare kompromisy na rzecz bezwarunkowej kapitulacji symbolicznego „południa” – wygrał kandydat „zaprzaństwa”, głosami opłakańców, którzy kurczowo trzymają się broni i religii.

Trump zwyciężył cztery lata temu nie obietnicą resetu i zaprowadzenia jakiegokolwiek starego porządku, lecz obietnicą złagodzenia kursu i przywrócenia ideologicznej równowagi w

kluczowym dla amerykańskiego ustroju Sądzie Najwyższym.

Szorstki biznesman który nie przeszedł kursu ogłady na salonach nikogo jednak nie oszukiwał. Gdy Biden składał w kampanii obietnice socjalne, jego interlokutor w studiu wstrzymał się od nich i rozwinął wątek dyskusji o etosie pracy. Nie składał też tanich obietnic dla mniejszości etnicznych, choć ta go poparła w stopniu wyższym niż oczekiwany, dzięki czemu obronił Teksas, Georgię i Florydę.

Nie udała się destabilizacja państwa przez anarchistów w służbie globalistów. Ostateczną bronią przeciwników „rudego dewelopera” było przerzucenie winy za zarządzanie kryzysem koronawirusowym na Biały Dom. Trump ostro krytykowany przez przeciwników politycznych – ale i ekspertów – za fatalne zarządzanie reakcją na pandemię poprawił swój wynik sprzed czterech lat w okręgach z dużą liczbą ofiar śmiertelnej choroby naszych czasów.

Podobieństwo z polską sceną polityczną jest nieprzypadkowe – nie tylko pod względem realnych sukcesów społeczno-ekonomicznych, które dają ludziom poczucie bezpieczeństwa i przeciągają wahających się. Marionetkowi kandydaci ustanawiani przez skrytą oligarchię nieprzygotowani do rozwiązywania realnych problemów mogli liczyć jedynie na medialne sterydy i bez skrpułów korzystali z ochrony jaką dawały im media społecznościowe, prasa i telewizja.

Ludzie, po pierwsze, jakby uodpornili się na karykaturalny przekaz zastępujący rzeczywistość i na mowę pogardy kierowaną do nich przez establishment. Po drugie stare wygi odpowiadający za zastój – u nas Trzaskowski, przyboczny Tuska, w Ameryce Biden, który towarzyszył sympatycznemu, ale nijakiemu Obamie – odebrali wiarygodność kampanii liberałów.

Podpatrując wciąż aktualizowane dane można wnioskować: Trump jest na ostatniej prostej do zwycięstwa. Nie zwyciężył wprawdzie z aż taką przewagą głosów jak można byłoby się

spodziewać po ostatnich miesiącach, ale mamy do czynienia z podobnym efektem polaryzacji podbijającej frekwencję, jak przy ostatnich wyborach prezydenckich w Polsce, gdzie Andrzej Duda pokonał Rafał Trzaskowskiego z nieznaczną przewagą, ale obydwaj kandydaci zdobyli niemal bezprecedensowe ilości głosów. W Stanach, były niektóre miejsca, gdzie jeszcze przed dniem wyborów, oddano więcej głosów (drogą tzw. wczesnego głosowania oraz głosów korespondencyjnych) niż w całych poprzednich wyborach. Tu wydaje się dziać podobnie. Trump zbiera ogromne ilości głosów – a napędzana przez cztery lata nienawiść sprawia, że ogromnie wzrosła też ilość głosów oddawanych przeciwko niemu. I, podobnie jak w Polsce, większość wyborców Bidena zasadniczo nie głosowała na Bidena, a za ledwie przeciw Trumpowi.

Miało być miażdżące zwycięstwo Joe Bidena, jest niezwykle wyrównana walka o każdy głos. Eksperci i rosnąca przewaga demokratów studzą entuzjazm sztabowców i zwolenników obecnej ekipy waszyngtońskiej, lecz wieczór wyborczy z 3 na 4 listopada i tak należał do Trumpa. Połowa Ameryki należy do niego.

Autorstwo: marcin333

Źródło: WolneMedia.net